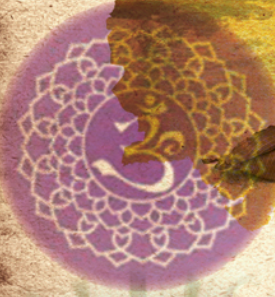


YONINA
LELOCH



W głąb
siebie

PODRÓŻ Z AZJĄ W TŁE

W głąb siebie

to nie tylko lektura dla pasjonatów Dalekiego Wschodu, ale także poradnik dla wszystkich tych, którzy szukają szczęścia, zdrowia i wewnętrznego spokoju. Autorka, prowadząc pamiętnik, pokazuje swoją transformację. Napotkani ludzie oraz ich historie to skarbiec pełen inspiracji. Wraz z autorką poznajemy Hongkong, Japonię, Indie, Nepal, Sri Lankę oraz Bali, które staje się jej tymczasowym domem.



Czytelnicy poszukujący zmian w życiu zawodowym i prywatnym, zmagający się z problemami zdrowotnymi, ciekawi świata oraz innych kultur znajdą w książce odpowiedzi na wiele nurtujących pytań. Opowieść Yoniny Leloch to recepta na satysfakcjonującą rzeczywistość oraz dowód na to, że nigdy nie jesteśmy sami, a nasi bliscy wspierają nas, nawet jeśli fizycznie już nie ma ich z nami.

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl


Sorus

YONINA
LELOCH

W głąb
siebie

PODRÓŻ Z AZJĄ W TLE


Sorus

Redaktor prowadzący
Agata Sikorska-Olszowa

Redakcja
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki
Marcin Dolata

Skład
Maciej Torz

Zdjęcia
Archiwum autorki

Copyright © by Yonina Leloch 2023
Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-66664-93-7 e-book

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

*Największy dyskomfort i zagrożenie przed nieznanym
to projekcja umysłu.*

Zanim zamknęłam walizkę

Lęk – stań mu naprzeciw, zmierz się z nim i idź za głosem serca... Opuść kontrolę, zignoruj strach, porzuć strefę komfortu, jedź w nieznaną. To właśnie te słowa zapoczątkowały moją transformację wewnętrzną. Książka ta jest kontynuacją moich losów, zaś wcześniejsze lata zostały ujęte w opowieści: „Z workiem przez życie”.

Zamknięcie pierwszej książki to jednocześnie zapowiedź drugiej. Pozwólcie, że tym razem zabiorę Was w podróż po Azji. Poznacie moją osobistą historię oraz znajdziecie inspirujące fragmenty z życia poznanych przeze mnie ludzi. W ciągu dwóch lat, podróżując intensywnie po krajach azjatyckich o przeróżnej kulturze, zdobyłam wiedzę, którą chcę się dzielić. Przed wyjazdem biblioteki Uniwersytetu SWPS były miejscem, gdzie poszukiwałam wiedzy o człowieku, dziś to świat, ludzie i odmienne kultury stały się moją czytelnią. Dla mnie – Europejki, mieszkającej wcześniej w Wielkiej Brytanii, Polsce, Włoszech, Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych, wiedza przywieziona z Azji stała się bezcenna. Przybywam z książką, która mam nadzieję trafi do księgarń i domowych biblioteczek, pomagając jej czytelnikom odnaleźć receptę na szczęście, spełnienie, zdrowie i spokój wewnętrzny.

W podróż zabiorę Was dzięki pamiętnikowi, który prowadziłam w drodze, pokażę w nim nowe inspiracje, nowe kultury oraz fascynujące historie napotkanych ludzi. To podróż w świat innych kultur, odmiennej duchowości, niekonwencjonalnej medycyny. Jestem tu nie tylko kronikarzem i obserwatorem, ale przede wszystkim eksperymentuję na sobie. Moja historia tu przedstawiona rozpoczyna się 8 kwietnia 2016 roku, a kończy 3 marca 2018 roku. Te daty to dzień wyjazdu z Polski oraz powrotu do kraju.

Opuściłam Polskę rozbita emocjonalnie i zagubiona. Nie wiedziałam, gdzie jest moje miejsce, jak się uporać z nowymi wyzwaniami. Nosiłam w sobie nieprzepracowaną przeszłość.

Nigdy nie mówiłam otwarcie, jak jest mi źle. Czułam się samotna, niekochana i opuszczona. Może nie przez wszystkich, ale przez osoby ciągle poddające mnie

ocenie i patrzące, na ile jestem przydatna. Wiele słów i czynów raniło moje serce. Nie znajdowałam zrozumienia ani akceptacji dla tej prawdziwej siebie. Na twarzy często nosiłam maskę uśmiechu, za którą tak naprawdę krył się strach, smutek, niezrozumienie. To udawanie, że jestem silna i wszystko potrafię... W głowie miałam wiele pytań: „Co zrobić z wewnętrzną pustką i cierpieniem?”, „Jak długo można uciekać w pracę i nigdy nie poznać siebie?”, „Jak zbudować stabilny dom, jeśli fundamenty nie zostały dokończone?”.

Ten dom pękał, przewracał się, musiałam zacząć od podstaw.

Nowe wyzwania zawodowe, kolejne problemy, w tym śmierć najbliższych mi osób: matki chrzestnej, czyli siostry ojca, babci oraz taty w krótkim odstępie, i ich niepozałatwiane sprawy. Czułam się, jakbym została zamkniętym w kokonie, a osoby wokół mnie nie potrafiły mi pomóc. Odpowiedzi na nurtujące mnie pytania postanowiłam poszukać gdzieś dalej.

Zapakowałam walizkę i ruszyłam w świat.

Hongkong

8 kwietnia 2016

Nurtują mnie pytania, jak sobie poradzę w nowej roli, czyli jako kobieta biznesu. Śmierć ojca oraz bliskich to dla mnie nie tylko ból i strata. Wiąże się z tym również odpowiedzialność, na którą nie jestem gotowa. Wiem, że muszę jeszcze wiele się nauczyć, a bez mentora nie jest to łatwe. Z dnia na dzień powinnam podejmować mnóstwo decyzji związanych z zarządzaniem ziemią, nieruchomościami. Jak moja rodzina ma opanować chaos związany z testamentem ojca oraz zacząć życie na własny rachunek? Towarzyszą temu silne emocje, strach, który udziela się chyba każdemu. W głowie mam mentlik: część mnie chce iść swoją ścieżką, jest pełna marzeń i nie planuje kontynuować drogi ojca.

Zacząłam działać w fundacji na rzecz osób ze stomią, udzielać się w mediach i pokazywać, że można cieszyć się życiem mimo choroby oraz noszenia worka stomijnego. Rozpocząłam studia psychologiczne, które planowałam już w liceum, ale ciągnęło mnie w świat. Wcześniej studiowałam języki, mówię także po włosku, hiszpańsku i angielsku. Skończyłam Akademię Sztuk Pięknych we Włoszech oraz Uniwersytet Walijski – wzornictwo przemysłowe i architekturę wnętrz. W Nowym Jorku pracowałam w korporacjach, między innymi tworząc na zlecenie Micheala Bloomberg’a, zaś w Polsce miałam własną firmę – między innymi zaprojektowałam Hotel Focus w Gdańsku. Ale opadłam z sił. Poddałam się, zostawiłam wszystko i wybrałam w podróż życia, by odnaleźć siebie, zdrowie cielesne i duchowe.

Mam wątpliwości, czy wrócę do pracy w korporacji. Czy Hongkong okaże się miejscem, w którym poznam bliskich mi ludzi i które przygotuje mnie do nowej roli? Czy to będzie moim priorytetem, moją osobistą drogą?

Dwa miesiące przed datą wylotu do Hongkongu uaktualniam swój profil na społecznościowej wirtualnej aplikacji i tak właśnie wpadam na Stephana. Wzbudza moje zaufanie, rozmawiamy praktycznie codziennie. Okazuje się, że wynajmuje pokój na Airbnb, a ja zostaję jego lokatorką. Wylatuję do Hongkongu

z podświadomym zamiarem zastania w Azji. Różne myśli krążą mi po głowie. W walizce szorty, ale również szpilki i eleganckie ubrania – zobaczymy, gdzie mnie poniesie.

9 kwietnia 2016

Poznaję Stephana jeszcze bliżej. Opowiada mi o swoim życiu. Okazuje się, że jesteśmy na podobnym etapie – stoimy na rozdrożu oraz przed wielkimi konfrontacjami i zmianami. On – świeżo po rozwodzie, jego była żona wyjechała z dzieckiem na drugi kontynent. Ja – pożegnałam trzy bliskie mi osoby z rodziny. Czuję smutek i nieprzepracowany jeszcze żal. Mam wrażenie, że nie mogę iść własną drogą, ponieważ stałam się odpowiedzialna za wiele spraw rodziców, których nie poukładali między sobą.

10 kwietnia 2016

Wreszcie odwiedza mnie moja ukochana przyjaciółka Erika. Znamy się osiem lat, poznałyśmy się w Nowym Jorku i dzięki podobnej wrażliwości emocjonalnej oraz „bliźniaczych” doświadczeniach zżyłyśmy się ze sobą. Okazało się, że obie mieszkaliśmy we Florencji, więc połączyła nas miłość do Włoch. Mogę też śmiało powiedzieć, iż pomimo tego, że żyjemy na różnych krańcach świata, nasza przyjaźń to spotkanie bratnich dusz. Erika jest bardzo przedsiębiorczą kobietą, zarządza sześcioma sklepami z ekskluzywną męską odzieżą marki Armani. W Nowym Jorku wspólnie weszłyśmy w dorosłe życie (byłyśmy świeżo po studiach) i zaczęłyśmy robić karierę zawodową. To właśnie Erika miała wpływ na początek mojej podróży.

11 kwietnia 2016

Mam nadzieję, że wreszcie odżyję, bo idę do firmy, która ma mi wydać nowy sprzęt stomijny. Po osiemnastu latach przyrząd i worek, bez których nie mogę żyć, zostały wymienione na nowe modele, lecz niestety nie sprawdziły się. Ostatnich parę dni było dla mnie naprawdę trudnych – nieprzespane ze strachu noce i ograniczanie jedzenia do minimum. Kolejny zestaw okazuje się nie tak idealny jak ten, do którego byłam przyzwyczajona, ale zdaje egzamin. Idę do domu, w końcu się wyśpię.

12 kwietnia 2016

Mieszkam w czteropiętrowym apartamencie w budynku położonym wysoko na wzgórzu. W salonie, od podłogi aż po sufit, są okna, przez które moim oczom ukazuje się panorama miasta. Jednak w tym momencie najważniejszym miej-

scem dla mnie jest łazienka. Chłodne marmury pokrywają podłogę, na której stoi ogromna wanna – w niej leżę i się relaksuję. Delektuję się widokiem miasta mimo natłoku myśli zaprzatających głowę. Otoczona luksusem zdaję sobie sprawę z tego, że to kosztuje, jednak daje mi namiastkę dawnego życia w Nowym Jorku. Czerpię z tych chwil jak najwięcej. Otwieram aplikację Couchsurfing.

Steven opowiada o Tajwanie, wzbudza we mnie apatyt na ten kraj, tym bardziej że nie jest pierwszą osobą, z którą o nim rozmawiam. Jeszcze będąc w Polsce, miałam okazję dzięki organizacji Rotary powymieniać uwagi o Tajwanie z Danielem, blogerem, z którym połączyła mnie wspólna pasja do pisania.

14 kwietnia 2016

Dzisiaj jeszcze nie zwiedzam, odpoczywam po niedawnej narkozie i zabiegu. Ranek spędzam w mieszkaniu, na spokojnie porządkując rzeczy i myśli, jednym słowem – relaksuję się. Dopiero wieczorem wychodzę na spotkanie z Eriką i jej dziadkami. Wystrój ich domu przypomina trochę czasy PRL-u. Można go w pewnym stopniu porównać do mieszkania jednej z moich babć. Lokum drugiej posiadało wyjątkowy klimat dzięki stylowym meblom. Można powiedzieć, że w domu dziadków Eriki znajduję namiastkę tego, czym było mieszkanie mojej babci, jednak z dodatkiem wschodniego klimatu. Budynek został zbudowany w klasycznym chińskim stylu. Bardzo ujęły mnie wnętrza, zainspirowane tradycją i kulturą Wschodu. Domem zajmuje się Filipinka, która przygotowała nam wspaniałe posiłki. Jem rybę ugotowaną na parze z warzywami, kurczaka z grzybami, zupę z jabłek, gruszek oraz lokalnych owoców, a na deser ciasto. Wiele tutejszych rodzin zatrudnia do pomocy kobiety pochodzące właśnie z Filipin, jednocześnie dając im wikt i opierunek.

Tak właśnie poznałam Jose, z którą następnego dnia postanowiłam wybrać się na lokalny rynek.

15 kwietnia 2016

Dziś dzień decyzji, idę za głosem serca i kupuję bilet do Tajwanu. Słyszę: „Boracay”, „Malediwy”, padają różne pomysły ze strony przyjaciół, ale ostatecznie wybieram mniej komercyjną opcję.

Wstaję rano i razem z Jose idę na targowisko. Młoda Filipinka staje się moim kulinarnym przewodnikiem. Uświadamia mi także, jak żyją jej rodacy w Hongkongu. Jose jest żoną i matką. Jej mąż również tutaj mieszka, natomiast dziecko wychowują dziadkowie na Filipinach. Niezwykle urzekło mnie w niej to, że nie narzeka na swój los, lecz w pełni go akceptuje, emanując przy tym radością i delikatnością.

Filipińczycy pracujący w Hongkongu mają w tygodniu jeden dzień wolny, który przeznaczają na wypoczynek. Mowa o niedzieli, kiedy to wspólnie spożywają posiłki i spędzają razem czas. Wiele osób pracuje i mieszka u zatrudniających je rodzin, nie mając przysłowiowego własnego kąta. Miejscem ich spotkań są więc chodniki i ulice, na których rozkładają kartony, aby odgrodzić się i dać sobie chociaż trochę prywatności.

Filipiny również są na mojej liście planowanych podróży. Niebawem się tam wybiorę. Mają tam piękne wyspy, wspaniałe jedzenie, przemyłych mieszkańców i... masaże. Nie mogę więc przegapić tak cudownego miejsca.

Spotkanie z Jose jest dla mnie kolejną inspiracją na życiowej drodze i kolejną lekcją pokory. Tymczasem dojeżdżamy do celu i kończymy pogawędkę. Targ jest dla mnie atrakcją, a ja staję się nią dla jego bywalców. Śmieję się z lokalnymi handlarzami i robię zdjęcia. Ktoś pyta mnie, skąd jestem, odpowiadam, że z Polski. Kilka osób zaczyna krzyczeć: „Poland” i bić brawo. Ludzie wykazują entuzjazm, a moje zachowanie oraz uwaga, jaką ich otaczam, ewidentnie są dla nich czymś nowym i stanowią swego rodzaju oderwanie od codziennej rutyny. Nagle krzyczę, ponieważ przy jednym ze stoisk wprost na mnie wyskakuje krewetka. Budzi to salwy śmiechu. Za chwilę znów krzyczę, bo „atakuję” mnie żaba, a ryby dynamicznie podrygują.

Poznaję sprzedawcę, który zaskakuje mnie wiedzą na temat oferowanego towaru. Doskonale wie, jakie właściwości lecznicze mają produkty oraz zna kilka przepisów na potrawy, jakie można z nich sporządzić. Wzorec idealnego handlarza. Taką postawę się ceni, czuć, że człowiek ma pasję i powołanie do tego, co robi. Dostaję rabat na czarny czosnek, który przechowuje się przez dwa tygodnie w specjalnym naczyniu, w celu spotęgowania jego leczniczych właściwości.

16 kwietnia 2016

Postanawiam kupić komputer, bo ileż można pisać na komórce. Umawiam się z Nadavem, prawnikiem z Izraela. Idziemy do sklepu firmy Apple w Causeway Bay, gdzie podekscytowana kupuję laptopa. Hongkong faktycznie, jeśli chodzi o sprzęt komputerowy, okazuje się atrakcyjny cenowo. Causeway Bay to eleganczka, komercyjna, pełna szklanych budynków, centrów handlowych i podobno najdroższa – jeśli chodzi o czynsz – dzielnica na świecie. Ruszamy do Mong Kok, innej równie tłocznej części Hongkongu, ale już tańszej. Wąskie uliczki, kwiatowy rynek. Wchodzimy do jednej z najstarszych świątyń buddyjskich w Hongkongu (Man Mo). Przy wejściu wiszą chińskie lampiony oraz stoją złote wazy, w których palą się kadziła. Przykuwają uwagę dziesiątkami stożkowych form, także wiszących pod sufitem oraz czerwonymi kartkami z intencjami modlitewnymi.

Na obiad zamawiam kaczkę po pekińsku oraz zupę – chiński rosół z pierogami wonton. Delektujemy się posiłkiem, rozmawiając o życiu. Erika kończy pracę i dołącza do nas wraz ze swoim chłopakiem. Jedziemy do Kowloon, centralnej części miasta i ruszamy na punkt widokowy, z którego widać dzielnicę biznesową. Budynki zmieniają kolory, mieniając się w blasku wody.

Zachodzące słońce podkreśla świetlisty widok szklanej, nowoczesnej, miejskiej cywilizacji. Idziemy na kolację, po której Nadav wraca do domu, a my z Eriką ruszamy na imprezę. Lan Kwai Fong jest jednym z najbardziej imprezowych miejsc w Hongkongu. To na początek, potem idziemy do klubu z jacuzzi mieszczącego się na dachu California Tower, skąd roztacza się cudowna panorama na miasto. Towarzyszą nam siostra Eriki oraz jej chłopak. Potem wszyscy wracamy do domów. Żegniam się z nimi, ale jednak coś ciągnie mnie przed siebie. Idę zatłoczoną ulicą miasta i zaczynam tańczyć z obcymi ludźmi. Trafiam na grupę brazylijskich piłkarzy, oni oraz ich towarzyszkę stają się moją ekipą tego wieczoru. Baluję do białego rana w klubach dzielnicy czerwonych latarni Wan Chai.

17 kwietnia 2016

Jest niedziela. Odsypiam imprezę i idę z dziadkami Eriki do Tea House. Tradycyjna chińska restauracja, gdzie w ciągu dnia serwuje się posiłki, zmienia się w salę weselną. Jedzenie podają tu na metalowych wózkach. Dziadkowie, ubrani bardzo elegancko, bo wychowani w tradycji chrześcijańskiej, wcześniej poszli do kościoła na mszę. Próbuje wielu pysznych dań, nowością jest dla mnie gołąb. Muszę przyznać, że kiedy udało mi się nie uruchamiać wyobraźni, nie smakował źle. Mieszkańcy Hongkongu są naprawdę serdeczni, a szczególnie dziadkowie Eriki. Czuję się, jakbym sama znów miała dziadków. Życie jest kruche. Jedni odchodzą, aby drudzy mogli przyjść na świat. Dlatego warto spędzać czas z bliskimi, bo jest bezcenny.

Poza dziadkami i najbliższą rodziną Eriki poznaję również dalszych krewnych – jej ciotce oraz wujków, którzy zabierają mnie na ziołową herbatę. W smaku nie jest porywająca, ale jako lekarstwo pomaga w detoksykacji organizmu oraz wpływa pozytywnie na układ odpornościowy.

18 kwietnia 2016

Dzisiaj przylatuje Roger, wreszcie spotkam znajomą twarz z Polski. Nasze drogi się mijają i zazębiają. Roger mieszkał w Australii, gdzie prowadził szkolenia menedżerskie, potem jego domem znów stała się Polska, bo tu zatrzymała go praca restauratora. Dziś pracuje dla linii lotniczych Emirates. Mieszka w Dubaju albo – można rzec – gdzieś w świecie, bo ciągle jest w rozjazdach. Tym razem spotykamy

się w Hongkongu. Wymieniamy ulubionymi miejscami w mieście. Dla mnie jednym z piękniejszych jest Wzgórze Wiktorii (Victoria Peak), czyli najwyższy szczyt na terenie aglomeracji, skąd można podziwiać centrum, Port Wiktorii, wyspę Lamma. Również niesamowite wrażenie robi wielki buddyjski klasztor Po Lin. Biegające małpy, zielona panorama, odgłosy natury dookoła... Aby dotrzeć na szczyt świątyni położonej na płaskowyżu Ngong Ping na wyspie Lantau, trzeba pokonać długie schody. Klasztor został założony przez trzech mnichów, a jego nazwa początkowo brzmiała Tai Mao Pung, co znaczy: Wielka Chata. Znajdują się tam trzy posągi Buddy symbolizujące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, a także największy na świecie posąg proroka wykonany z brązu – Budda Tian Tan.

Kolacje jem z Rogerem w hotelowej restauracji z panoramicznym tarasem. Zamawiam na kolację stek z polędwicy. Na nasze szczęście Roger może tu jeść z rabatem, poza tym posiłek jest poniekąd w ramach jego pracy. Mój towarzysz zamawia zupę tom yam oraz szaszłyki malezyjskie satay z sosem orzechowym. Do tego popijamy bąbelki, czyli prosecco.

19 kwietnia 2016

W planach mam zwiedzanie i zakupy. Na ulicy mijam dziennikarzy z MTV, z którymi robię sobie zdjęcie. Odblaskowy garnitur, kolorowe skarpety i uśmiech od ucha do ucha. Tak prezentuje się lokalny muzyczny dziennikarz. Wędruję do centralnej części miasta i trafiam do dzielnicy SoHo. Oglądam wystawy sklepowe, a moją uwagę przykuwają te z antykami. Stoją w nich klasyczne chińskie wazy *cloisonné*, porcelana oraz meble.

Na kolację umawiam się ze Stephanem. Przy posiłku okazuje się, że mój kolega uwielbia włoską muzykę z lat 90.

20 kwietnia 2016

Wchodzę w aplikację i umawiam się z kolejnym podróżnikiem. Jestem niezmiernie ciekawa, bo przeczytałam, że pracuje dla Green Peace. Wychodzę z mieszkania, mijam ogród zoologiczny oraz jadę w dół najdłuższymi na świecie ruchomymi schodami. W godzinach porannych tłum elegancko ubranych ludzi zmierza do pracy. Rano więc schody jadą w dół, a wieczorem do góry. Cała konstrukcja jest zadaszona, tworzy jakby kolejne wymiary, ponieważ miasto położone jest na wzgórzach. Obok schodów można również przejść wąskimi uliczkami, przy których mieszkają tysiące ludzi. Po godzinach pracy restauracje i salony masażu tętnią tu życiem. Cały Hongkong ma 1104 km² powierzchni, na której żyje około 7,4 mln ludzi, czyli prawie 6700 osób mieszka na 1 km²! W końcu, jakby nie patrzeć, to część Chińskiej Republiki Ludowej.

Przysiadamy na ulicy, gdzie serwują uliczne jedzenie, tam też zamawiamy posiłek. Mój towarzysz pochodzi z Indii, ma w sobie luz i dystans do życia. Papierosy, palone jeden za drugim, wchodzą mu w szpary po zębach. Nasze spotkanie nie trwa długo, bo w głowie mam już inne plany.

Idę na akupresurę. Zgodnie z jej filozofią w stopach znajdują się punkty, które reprezentują organy, a ich uciskanie je masuje. Wieczorem jemy z Eriką kolację nieopodal słynnych ruchomych schodów. Około godziny 18 na ulicach jest już tłoczno, a ludzie odreagowują stres w lokalnych barach, delektując się głównie zimnym piwem lub winem. Hongkong jest teraz moją bazą. Nie wiem jeszcze, w jakim kierunku pójdę, ale na pewno za głosem serca.

Tajwan

KAOHSIUNG

21 kwietnia 2016

W głowie mam wiele pytań, na które nie znajduję odpowiedzi... Zobaczę, co przyniosą kolejne dni. Wylatuję do Tajwanu, do Kaohsiung, największego portu na wyspie. Sam Tajwan i sąsiednie mniejsze wyspy na Morzu Południowochińskim tworzą państwo o oficjalnej nazwie Republika Chińska. Kaohsiung to drugie co do wielkości miasto Tajwanu, zaraz po stolicy, czyli Tajpej. Wielką atrakcją jest tu główna stacja metra, chyba jedna z najpiękniejszych na świecie. Zbudowana z witraży, które tworzy cztery i pół tysiąca szklanych paneli. Wizja projektanta, Włocha Narcissusa Quagliaty, sprawia, że czekając na metro, można się poczuć jak w kalejdoskopie.

W porównaniu z Hongkongiem życie wydaje się tu spokojniejsze. W centrum miasta w końcu nikt się o mnie nie ociera, czuję przestrzeń wokół siebie. Stevena spotykam zaraz po wyjściu z wagonu, przyjechał po mnie na skuterze. Zawozi my moje bagaże do domu, a potem ruszamy zwiedzać miasto. Oglądamy Pagody Smoka i Tygrysa, które pasują mi do wizerunku wyspy, jaki miałam w głowie. Przepych, intensywne kolory i rzeźby niczym z bajki. Tajwan jest dla mnie dość tajemniczy, a pogłębia to mimika na twarzach wielu ludzi, czy wręcz jej brak. Jakby mieszkańcy nie zdradzali żadnych emocji.

Steven mieszka na Tajwanie od półtora roku. Jego historia jest tak fascynująca, że mogłaby stać się inspiracją dla innych. To człowiek o ogromnej sile charakteru i walecznym sercu. Tym, co nas połączyło, oprócz cudownych, wspólnie spędzonych chwil, są życiowe perypetie. Steven choruje na raka, ma wyciętą tarczycę. Pochodzi z małej wioski położonej na północy Włoch, niedaleko Livigno. Jest zaskoczony, że znam to miejsce. Jako Włoch z północy ma jasne włosy, co wynika z niedalekiej odległości od Austrii i Szwajcarii. Mój przewodnik ma rów-

niez niemieckie korzenie, dlatego śmieję się z niego, że jest idealnym połączeniem: emocjonalnego, energetycznego Włocha z wyważonym, niewylewnym Niemcem. Steven to ambitny osobnik o subtelnej urodzie. Jego delikatna twarz ma łagodny wyraz, co jest spójne z jego usposobieniem. Ten dzielny człowiek mimo ciężkiej choroby zdecydował się na studia MBA (Master of Business Administration) na Tajwanie. Żeby je opłacić, został asystentem nauczyciela języka angielskiego w lokalnej szkole. Wcześniej pracował w innych azjatyckich krajach jako handlowiec. Jak sam wspomina, zarabiał dobre pieniądze, wspinając się po szczeblach korporacyjnej kariery. Jednak jego nieodłącznym towarzyszem był stres, ciągle żył pod presją, aby mieć więcej i więcej – rozwijać się, utrzymywać pozycję w firmie i generować obroty. Nagle zdrowie odmówiło mu posłuszeństwa. Wtedy zmienił tryb życia. Zrozumiał, że życie ma się tylko jedno, że jest kruche, a stres je nieustannie niszczy. To smutne doświadczenie bardzo zmieniło Stevena. Czy na plus, czy na minus – trudno powiedzieć. Czasami w pędzie codzienności brakuje nam czasu na refleksję. Życiowe wybory niekiedy nas unieszczęśliwiają, ale dalej w nich tkwimy, bo wyścig, rywalizacja, potrzeby materialne czy pozyskiwanie prestiżu społecznego stają na pierwszym planie. Steven walczy z przerzutami, przygotowuje się psychicznie do powrotu do Włoch, gdzie ma rozpocząć chemioterapię. Mimo przeciwności losu nie poddaje się i kontynuuje edukację, uczęszcza na zajęcia, aby skończyć studia. Chce zrobić dyplom, a następnie wrócić do walki z chorobą. Udało mu się zbalansować swoje życie. Ludzie narzekają, że nie mają pieniędzy, że są chorzy i tym usprawiedliwiają trwanie w swoim bezpiecznym świecie, a ten młody, bo dopiero dwudziestosześcioletni mężczyzna, jest dowodem, że dla chcącego nic trudnego. Wystarczy podjąć decyzję, zadać sobie trochę trudu i dążyć do celu. Czuję się naprawdę zaszczycona, że mogłam poznać tak wspańskiego człowieka.

Miasto nagle na chwilę zamiera, ruch uliczny zostaje wstrzymany, a na niebie pojawiają się wojskowe samoloty.

Zwiedzanie umiłam sobie posiłkami – na przykład ulubioną zupą Stevena, podobną do polskiego rosółu, ale z makaronem o smaku pomidorów – hong shao niu.

22 kwietnia 2016

W mieście ujęła mnie prostota niektórych elementów, wydawałoby się niepasujących do zaawansowanego technologicznie państwa. Na przykład taka gra, w pełni „analogowa”, gdzie w sześćset kratek trzeba wpisywać kolejne numery. Kto pierwszy dotrze do ostatniej liczby, otrzymuje nagrodę. Albo strzelanie do butelek po piwie. Widać, że ludzie dobrze się bawią, mimo oszczędnego okazywania emocji.

Ta wyspa ma w sobie coś, co pozwala się wyciszyć, a do tego daje mnóstwo pozytywnych emocji. Takich jak na przykład możliwość obejrzenia panoramy Kaohsiung z punktu widokowego. Podobno wieczorem miasto prezentuje się jeszcze ładniej niż za dnia. Widok portu i budynków na „rzece miłości” ubarwia napis „Love”, kojarzący mi się z piosenką kochanych Beatlesów *All you need is love*. Wydawało mi się wówczas, że sama mam wielki deficyt miłości, ale tak naprawdę na tym etapie życia miłość i wsparcie napływały do mnie od wielu osób. Czuję, że ładuję się pozytywną energią dzięki ludziom, którzy są uprzejmi i wyciszeni.

Wsiadam do autobusu, jadę na południe i dojeżdżam do Kenting. Zatrzymuję się w hotelu dla surferów, który ma ciekawy design. Miejsce do spania można porównać do japońskich kapsułek, jednak tu są one betonowe. Jedno obok drugiego i nad kolejnym. Coś jakby katakumby, wewnątrz których leżą materace. Z kolei ornamentowane drzwi zrobione są ręcznie z drewna.

KENTING

23 kwietnia 2016

Budzę się rano, wokół mnie biwakują studenci. Zaprzyjaźniam się z nimi, daję lekcje jogi na plaży. Lokalni surferzy zabierają nas na obiad. Jeździmy hipisowskim vanem typu „ogórek”, popalając jointy. Wszyscy mają tu ogromny dystans do życia.

Wieczorem całą ekipą trafiamy do pobliskiego pubu na koncert na żywo. Jedną z najbardziej szalonych osób, które tam poznaję, jest dziewiętnastoletni Anglik. Pracował na farmach, między innymi w Japonii i innych krajach azjatyckich. Według niego jednym z bardziej fascynujących jest Korea Północna.

24 kwietnia 2016

Dzisiaj ruszamy na plażę nieopodal tej o śnieżnobiałym piasku – Baishawan, gdzie kręcono film pod tytułem *Życie Pi*. Podziwiam ludzi, którzy próbują surfować. Po południu odwiedzamy lokalny rynek i degustujemy przeróżne potrawy. Jedną z nich to tak zwane śmierdzące tofu – faktycznie czuć je z daleka. Na Tajwanie mieszkańcy jedzą praktycznie wszystko, w tym jelita zwierząt, kurze łapki w marynacie, skórę ryby, którą w ramach poczęstunku zamówili nam lokalni surferzy. Mi najbardziej smakuje coś w rodzaju naleśnika ryżowego z wołowiną w środku, zupa hot pot czy wołowina opalana ogniem na specjalnym blacie. Do tego owoce morza, wspaniałe dim sum, czyli lokalne pierogi. Takie oto są moje początki odkrywania smaków Azji.

TAJPEJ

25 kwietnia 2016

Wstaję wcześniej rano i jadę w kierunku Tajpej. Robię niespodziankę Danielowi, zaskakuję go, informując, że wreszcie się spotkamy. Po drodze udaje mi się do niego dodzwonić, a on organizuje dla mnie nocleg w hotelu z termami w promocyjnej cenie.

Dojeżdżam dość późno, ale udaje nam się chwilę porozmawiać, po czym ruszamy na kolację z międzynarodową grupą studentów. Daniel to człowiek, który udziela się społecznie, pomagając wielu ludziom. W jego towarzystwie można poczuć się tak, jakby swoją aurą ogrzewał poranione serca. Emanuje od niego dużo pozytywnej energii. Daniel żyje w otwartym związku z kobietą, a jego partnerka nie ma nic przeciwno temu, by sypiał z transseksualistami. Są swingersami. Daniel uważa, że miłość powinna być wolna. Po kolacji Daniel odprowadza mnie do hotelu. Pozwalam sobie na odrobinę luksusu. Do kamiennej wanny napełniam podłączoną do niej wodę termalną, w której się regeneruję i zbieram siły na dalszą podróż.

26 kwietnia 2016

Nazajutrz Daniel przyjeżdża po mnie do hotelu i wspólnie zwiedzamy niedużą część miasta, niewielką marinę. Idziemy na wieżę widokową, z której widać most Le Pont Des Amoureux oraz przystań. Wstępujemy na chwilę do domu Daniela, gdzie spotykam jego współlokatorów. Poznaję Stewarta, który spogląda mi w oczy i zaczyna się nade mną modlić. Nie wiem, co tam widzi, ale czuję się niesamowicie.

Kolejny raz doświadczam sytuacji, kiedy to ludzie widzą w moich oczach życiowe doświadczenie. Znowu słyszę, że mam w nich coś, co sprawia, że inni wiedzą, że przeżyłam wiele.

To wyjątkowe doznanie wejść do czyjegoś domu i odczuć tego rodzaju wsparcie. Nie spotkałam wcześniej zbyt wielu ludzi o takiej tolerancji, wrażliwości i akceptacji. Najważniejszą wartość stanowi bycie dobrym człowiekiem. Stewart mówi, że kiedyś zabierze mnie na misję charytatywną do Afryki, co od zawsze było moim marzeniem.

KAOHSIUNG

26 kwietnia 2016

Wieczorem wracam do Kaohsiung, gdzie zatrzymuję się u znajomego, którego poznaję na Tinderze. Walijczyk ma piękne służbowe mieszkanie, a w nim lokatorka – legwana. Czuję wielką radość, trzymając gada na rękach, choć wcześniej to

egzotyczne stworzenie wzbudzało we mnie strach. Mężczyzna bardzo tęskni za rodziną i ojczyzną. Nie do końca się tu odnalazł, wygląda na bardzo samotnego. Dlatego niekiedy wynajmuje pokój podróżnikom, a na Tinderze szuka miłości, znajomych lub tylko turystów, aby wypełnić nimi wolny czas. Wieczorem idziemy do baru, w którym mój nowy znajomy pije co najmniej sześć piw, zaciągając się w przerwach papierosami.

27 kwietnia 2016

Następnego dnia Walińczyk idzie do pracy, a ja wypawszy się, idę do parku ze spakowaną walizką i czekam na swój lot.

Znów jestem tylko sama ze sobą. Wracają wspomnienia. Płaczę w duchu, przywołując zmarłych, prosząc ich o wsparcie, abym nie była samotna. Ku mojemu zdziwieniu obok mnie rozkłada koc kobieta z dwoma psami, buldożkami francuskimi. Psy kompletnie jej nie słuchają i wbiegają za ptakami do jeziora. Gdy udaje jej się jednego psa złapać, zaraz ucieka drugi. Nagle kobieta pyta, czy może się przysiąść i dać mi pozytywną energię. Zaczyna robić mi reiki nad głową, a potem zaprasza na swój koc. Fien okazuje się bardzo inspirującą osobą. Opowiada mi o Indiach, gdzie w ramach The Art of Living zrobiła kursy reiki. Mówi, że wcześniej miała pracę, której nie lubiła, więc postanowiła ją zostawić i ruszyć do Indii w celu odnalezienia swojej nowej drogi. Za chwilę podchodzą do nas mama z córką. Rozmyślałam o cierpieniu, mam szokujące obrazy w głowie, nie rozumiem skąd. Nagle matka z córką włączają na laptopie film o Biblii, w którym poruszany jest sens cierpienia, mowa też o śmierci. Okazuje się, że obie są z misją w Tajwanie, nawracają ludzi i pomagają innym odnaleźć Boga. Tłumaczają mi, że w erze cyfryzacji filmy najlepiej obrazują przekaz biblijny. Misjonarki są jakby odpowiedzią na moje ciche wołanie o pomoc. Potrzebowałam ich wsparcia. W podróży jestem sama w wielkim świecie, ale nie samotna, mimo że czasem tak się czuję.

To piękny dzień. Patrę na matkę z córką ze skróconą wersją Biblii w komputerze, od których emanują spokój i ciepło. I na zakręconą, pełną radości i empatii Fien, ganiającą za swoimi buldożkami. Późnym popołudniem jadę na lotnisko i wracam do Hongkongu.

Fien przypomina mi o marzeniu, żeby zostać instruktorem jogi. To przez nią po głowie chodzą mi Indie. Czuję, że było to przełomowe spotkanie. Jadę na lotnisko i biję się ze wszystkimi myślami, które pojawiają się w mojej głowie. Próbuję podjąć decyzję o kierunku mojej dalszej podróży. Pobyt na Tajwanie przyniósł mi wiele odpowiedzi. Przede wszystkim zrozumiałam, jak ważna jest akceptacja,

wsparcie i miłość. To dzięki Danielowi, swingersowi. Jego współlokatorzy nie mają takich upodobań, każdy z nich jest inny, ale wzajemnie się akceptują, nie krytykują nikogo za inność i sobie pomagają. Od Daniela oraz na przykładzie samotnego Walijczyka dowiaduję się, jak ważne jest poczucie przynależności, akceptacja, aby żyć wśród osób, które nas szanują i kochają takimi, jakimi jesteśmy. Zaś dzięki Fien zrozumiałam, że ważne jest być wierną sobie. Że to nie czas na karierę zawodową, tylko realizację własnych potrzeb. Siebie i swoje marzenia muszę postawić wyżej. Pragnę znów być w Tajwanie i zamieszkać ze współczesnymi hipisami. Postanawiam, że jeszcze tam wrócę.

HONGKONG

27 kwietnia 2016

Łąduję w Hongkongu, który jest moją bazą, z mocnym postanowieniem, że nie wracam do Polski ani też nie zostaję tutaj, tylko lecę do Indii zrobić kurs jogi. Wieczorem przychodzi Stephan, z którym dzielę się informacjami o zmianie planów. Śmieje się i mówi, że podoba mu się moja spontaniczność, a ja postanawiam, że po wycieczce do Japonii, którą z przyjaciółką planowałam już w Polsce, ruszę do Indii realizować swoje marzenia.

SAI KUNG

28 kwietnia 2016

Wybieram się do dzielnicy Sai Kung. Kojący widok tutejszych ulic mnie rozluźnia. Wokół pełno handlarzy sprzedających pamiątki, ale jeszcze więcej rybaków i rybnych restauracji. Chodzę bez określonego celu, obserwując, co się dzieje dookoła. Siadam w jednej z restauracji z olbrzymimi akwariami pełnymi ryb, homarów i wszystkich możliwych morskich żyjątek. Zamawiam mały, ale bardzo elegancki posiłek w wydaniu chińskim – dużą małżę w muszli rozmiarów dłoni. Siedzę tam około dwóch godzin i czuję się tak, jakby ojciec cały czas mi towarzyszył.

Po posiłku wybieram się na przejażdżkę łódką, by podziwiać okoliczne wyspy. Godzinny rejs w towarzystwie małżeństwa z córką wyglądającą jak piękna, porcelanowa laleczka ma na mnie działanie relaksacyjne.

29 kwietnia 2016

Chodzę po mieście, obserwując świat dookoła... Ludzie w Hongkongu przypominają mi Bankiera, którego odwiedza Mały Księżę na jednej z planet. Bankier nie ma na nic czasu, ponieważ cały dzień liczy gwiazdy. Mały Księżę nie może się nadziwić, jak różne są ich priorytety, bo on w przeciwieństwie do Bankiera chce poznać lepiej siebie i świat oraz różę, która została na jego planecie. W tym celu Mały Księżę oddaje się podróżom. Hongkong to jednak miejsce na karierę, a ja czuję, że przyszedł czas na inny etap w moim życiu – rozwój duchowy i poznawanie siebie.

30 kwietnia 2016

Przed wyjazdem do Japonii Stephan, który staje się dla mnie mentorem, dodaje mi otuchy w związku z moimi wątpliwościami, jak sobie poradzę po śmierci ojca, jak podołam nowej roli, jak wszystko poukładam i jakie są dobre inwestycje, a jakie złe. Mam wiele obaw, ale obserwując mojego starszego znajomego, który jest specjalistą od finansów, widzę, że praktyka czyni mistrza. Z tą myślą ruszam przed siebie zrealizować plan.

Japonia

FUJI

2 maja 2016

To miejsce, gdzie nie jadę niczego szukać, tylko zwiedzać. Na pewno jestem ciekawa architektury, mody, odmiennej kultury. W Japonii mam spotkać się z Agnieszką – ostatnimi czasy mocno się wspierałyśmy.

Czeka na mnie w miejscu, które razem wybrałyśmy, przeglądając Google Maps jeszcze w Polsce, w trakcie planowania tej wycieczki. Postanowiłyśmy wtedy, że będzie ona objazdowa. Jednocześnie wykupujemy Japan Railway Pass na siedem dni, bo to najlepsza forma podróżowania. Przejazdy w Japonii są bardzo drogie, dlatego warto wcześniej wykupić taki „pakiet” kolejowy.

Pociąg rusza na południe kraju i tak zaczyna się nasza przygoda. Różnice kulturowe są widoczne już na pierwszy rzut oka. Obserwuję wewnętrzny spokój ludzi, który jest fascynujący. Nagle do przedziału wchodzi konduktor, staje najpierw na jednym końcu, później na drugim, kłaniając się w pas.

Pierwsza noc miała być spontaniczna, więc nie zarezerwowałyśmy wcześniej hotelu. Wtedy nie wiedziałyśmy jeszcze, co znaczy Złoty Tydzień w Japonii. Naszym pierwszym celem jest miasto Hakone. Niestety, ucieka nam pociąg, wsiadamy więc do innego, który ma nas zawieźć w okolice góry Fuji. Gadamy i przegapiamy nasz przystanek, lądujemy w innym miejscu. Jedna z pasażerek radzi, by wysiąść na następnej stacji, gdzie jest dużo hoteli, ale decydujemy się na sporo mniejszą miejscowość, bo będzie taniej. Jestem głodna, więc najpierw znajdujemy restaurację, niestety bez Wi-Fi, ale za to z panem, który zapewnia, że pomoże nam załatwić nocleg w hotelu. Trwa to półtorej godziny i kończy się fiaskiem. Dobrze, że udaje się zamówić zupę z moim ulubionym makaronem udon.

Prosimy o pomoc spotkane w sklepie młode Japonki. Hotele nie mają wolnych miejsc, a im późniejsza godzina, tym ciężiej się gdziekolwiek dodzwonić, ale dziewczyny próbują nam pomóc na wszystkie sposoby, od spania przy termach po lokal z karaoke. Nie udaje się.

Zawożą więc nas samochodem na inny dworzec, do sąsiedniego miasta, gdzie jest większe prawdopodobieństwo znalezienia noclegu. W międzyczasie zrobiło się ciemno, dookoła nie ma żywej duszy. Wszystko pozamykane, kolej nie jeździ od godziny 22. W Japonii rozpoczęły się wielkie wakacje, czyli Złoty Tydzień.

Próbujemy jeszcze prosić o pomoc dwóch policjantów, ale znów nic z tego nie wychodzi. Nie przedłużamy już tej przygody. Udaje nam się znaleźć przedsiónek przed wejściem do hotelowego lobby. Przez szklane drzwi mamy widok na wygodne kanapy, lecz my leżymy na podłodze. Aż dzieje się cud. Jeden z gości właśnie wychodzi i wpuszcza nas do środka. Rzucamy się na kanapę, która wydaje się wygodna niczym luksusowe łoże. Radość spania trwa do godziny 4.30, kiedy budzi nas pracownik hotelu. Znów trzeba wyjaśniać osobie, która nie zna angielskiego, co tu robimy.

To trudny okres w moim życiu, łatwo wpadałam w stan podenerwowania. Najwyraźniej w Azji nie udało mi się jeszcze w pełni zregenerować. W hotelu puszczają mi nerwy, wstaję nagle i przeklinając po polsku, dość głośno wyjaśniłam panu, co myślę o tej nocy i jego hotelu. Na koniec rzucam telefonem w kanapę.

To moja pierwsza noc w Japonii, jeszcze nie wiem, że takie zachowanie oraz okazywanie emocji jest w tym kraju nie do przyjęcia. Ludzie w Japonii zawsze są grzeczni i uprzejmi, potrafią kontrolować swoje zachowanie.

Dociera to do mnie, kiedy pracownik hotelu podchodzi do nas z tabliczką, na której napisał po angielsku „Dzwonić policja”. Wyjaśniam mu już na spokojnie naszą sytuację i to, że nie mamy gdzie pójść, miasto śpi, a nasz pociąg odjeżdża dopiero o szóstej rano. Dostajemy kawę i pozwolenie na zostanie w hotelu aż do odjazdu pociągu.

KIOTO

3 maja 2016

Dojeżdżamy do Kioto. Na dworcu głównym jemy śniadanie, a potem znajdujemy nocleg z wczesnym zameldowaniem, znaleziony na Airbnb, z którego korzystam na zmianę z Booking.com.

Nasze lokum jest spektakularne niczym domek krasnoludków lub pudełko zapalek. Wszystko zminiaturyzowane. Maty i materace rozwijane do spania, poduszki do siedzenia i mały stół na podłodze. Typowo po japońsku, wszystko zmi-

niaturyzowane: miniwanna, wielofunkcyjne WC z osuszaczem, bidetem oraz filtrem, który pochłania nieprzyjemne zapachy. Śpiemy trochę i ruszamy zwiedzać. Kioto robi na mnie ogromne wrażenie. Taka azjatycka wersja Rzymu jako kolebki tradycji i kultury.

Porywa mnie dzielnica gejsz, gdzie czas się zatrzymał. Można tam nie tylko podziwiać poruszające się tanecznym krokiem subtelne kobiety w charakterystycznych strojach i makijażu. W mieście jest również dzielnica czerwonych latarni oraz przepiękne stare buddyjskie świątynie. Cudowna architektura, pełna harmonii, z każdym elementem na swoim miejscu. Wszędzie naturalne materiały, pełno ogrodów i zieleni. Nawet okablowania elektryczne na słupach są uporządkowane według kolorów.

W powietrzu unosi się cudowna woń kwiatów, a wokół świątyń – zapach kadzideł, całości dopełnia głos gongów.

Razem z mieszkańcami wtapiam się w lokalną kulturę i religijne obrzędy. Postanawiam się im poddać i modlić wspólnie z nimi. W jednej ze świątyń zbliżam się do siebie samej. Miejsce ma magiczną energię, która sprawia, że zatrzymuję się i zaczynam być tu i teraz, czuć w środku spokój i harmonię. Wokół bambusowe lasy, w górę prowadzą bramy tori, a tam znajduje się świątynia Shimogamo.

Po drodze zaczepiam lokalnego fotografa. Umawiamy się na następnny dzień na sesję fotograficzną w strojach gejszy.

Kioto zapiera dech w piersiach. To prawdziwa, piękna, tradycyjna Japonia. Nie tyle, że rozumiem, ale zaczynam odczuwać działanie feng shui. Zaczynam pojmować, jak ważne dla człowieka są porządek, harmonia i rytm. Wyobraźmy sobie, że poddajemy się rzece wraz z jej naturalnym nurtem i rytmem. Jesteśmy równie spokojni jak ona. W momencie podjęcia próby płynięcia pod prąd lub wpadając w wir, zaczyna się chaos.

Podczas zwiedzania tego bajkowego miasta przyłączamy się do sympatycznej rodziny z Kanady. Razem odkrywamy japońską kuchnię, która w moim kulinarnym rankingu zalicza się do najlepszych na świecie. Jedną z ciekawszych potraw, jedzoną przeze mnie po raz pierwszy, jest jeżowiec uni, serwowany w różnych przedziałach cenowych.

Napotkana rodzina mocno mnie inspiruje, jeśli chodzi o kierunki kolejnych wypraw. Wyznaczam sobie następne azjatyckie cele: Chiny, Syberię i Mongolię.

Nadchodzi wieczór i kładziemy się spać. Jednak w głowie pojawia się wiele myśli. Chciałabym na przykład kiedyś odkryć historię mojej babci zesłanej na Syberię. Marzy mi się zabrać ze sobą mamę, żebyśmy razem ruszyły śladami babci oraz złożyły kwiaty na cmentarzu, by z kolei upamiętnić jej siostrę, która zmarła na wygnaniu i nie została oplakana.

KOBE

4 maja 2016

Wypożyczymy stroje na sesję fotograficzną. Okazuje się, że proces ubierania gejszy to cały rytuał. Idziemy do Złotego Pawilonu, Kinkaku-ji, bo tam właśnie mamy spotkać się z fotografem. Drewno pawilonu jest z zewnątrz pokryte złotą folią, która przepięknie mieni się w promieniach słońca. Świątynia znalazła się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Po sesji w tradycyjnych strojach i wraz z chińską rodziną z Kanady ruszamy do dzielnicy gejsz, gdzie siadamy w lokalnej restauracji. Z Jennifer planujemy objazdową wycieczkę koleją po Chinach.

Opowiadam o książce, która poruszyła moje serce – to opis cierpienia kobiet w *Kwiecie Śniegu i sekretnym wachlarzu* Lisy See. Moim marzeniem po lekturze powieści była właśnie taka bliska przyjaźń, na dobre i na złe. Pokazane jest w niej, jak silne kobiece relacje pomagają przetrwać z uśmiechem na ustach pełne trudów życie. Podświadomie marzyłam o mocnej więzi pozwalającej poznać siebie.

Kobe to nasza kolejna baza wypadowa. Wynajmujemy pokój w hotelu, gdzie łóżka mają wymiary europejskie i stoją na stelażu, a wanna jest większa niż w poprzednim lokum, które nazwałam japońskim pudełkiem zapalek.

Przekonuję Agnieszkę, że są różne sposoby poznawania nowych osób i wspólnego zwiedzania – poza Rotary to aplikacje Tinder oraz Couchsurfing. Można znaleźć dzięki nim ludzi, którzy stają się naszymi lokalnymi przewodnikami. Tymczasem robię sobie krótki odpoczynek od zwiedzania i... Agnieszki. Muszę chwilę pobyc sama.

Agnieszka wraca do hotelu, ja też już nacieszyłam się sama sobą. Razem kontynuujemy zwiedzanie, a potem idziemy na kolację. Gdy jest się w Kobe, trzeba spróbować wołowiny Kobe, podobno najlepszej na świecie. Mięso jest najwyższego gatunku, ponieważ aby zrelaksować krowę, poświęca się jej dużo uwagi, zwierzę jest masowane, pije piwo i słucha muzyki klasycznej. Wołowina Kobe nie jest najtańsza, ale warto odzłażować około 25 dolarów, aby ją spróbować. Cena zależy od gramatury oraz części ciała krowy. Najdroższa jest polędwica z zadu. Miałam okazję spróbować steka oraz hamburgera, i faktycznie mięso rozpływa się w ustach. Smaku wołowiny Kobe nigdy nie zapomnę. Do tego kieliszek czerwonego wina dla spotęgowania wrażeń. Warto oddać się takim pięknym chwilom.

Kobe to jeden z większych portów Japonii. Mieszkamy w centrum, które tętni życiem w dzień i w nocy. Jest bardzo czyste, a ludzie przemili, uczynni i skłonni do bezinteresownej pomocy, nawet jeżeli wyzwanie nie należy do łatwych.

Żeby wrócić do hotelu, krążymy chyba z godzinę, każdy pytany Japończyk kieruje nas w inną stronę: jeden w prawo, drugi w lewo, trzeci w przód, a czwarty

w tył. Stwierdzam, że uprzejmość nie pozwala im odmówić pomocy. Jednak bariera językowa utrudnia nam kontakt. Dlatego warto zaopatrzyć się w kartę do telefonu, aby mieć własny internet z niezawodnym GPS-em, czyli Google Maps. Okiem architekta wewnątrz podziwiam detal, piękno i jestem pod wrażeniem gustu oraz wycucia stylu, jaki mają Japończycy. Dla mnie Japonia to azjatycka perła kultury, tradycji, piękna. W Europie taką perłą są dla mnie Włochy. Po drodze mijamy bajkowe domki Snoopy'ego, które przywołują wspomnienia nie tylko bajki oglądanej w Anglii, ale również mojego psa, który nosił to imię.

OSAKA

6 maja 2016

Wybieramy się z Agą na wycieczkę do Osaki. To moment, by zaprezentować przyjaciółce moją taktykę podróżowania. Odpalam aplikację, poprzez którą poznaję Sama. Podkreślam, że nie jest to randka, tylko szukamy osoby, która oprowadzi nas po mieście. Jasny komunikat oraz szczerłość to podstawa, by nie generować niepotrzebnych nieporozumień i budować dobre relacje.

Spotykamy się niedaleko głównego dworca. Najpierw zwiedzamy budynek Umeda Sky Building, na czym bardzo zależało Agnieszce. Jeden z najwyższych budynków Osaki ma 173 metry wysokości, 40 pięter, zbudowany został w 1993 roku. Sam prowadzi nas do ekstrawaganckiej dzielnicy Dotonbori, japońskiego Times Square, gdzie na jednym z budynków upamiętniono plakatem Glico, olimpijskiego biegacza z 1935 roku.

Obiad jemy we czworo, bo dołącza do nas japońska przyjaciółka Sama. Wybieramy restaurację w tradycyjnym japońskim stylu, z matami, na których siadamy po turecku. Jemy i dzielimy się opowieściami o nas samych. Sam okazuje się niezwykle inspirującym człowiekiem, który porzucił dotychczasowe życie, by zrealizować swoje marzenia. Przyznaję, że studiuje psychologię, że mam intuicję i dar czytania ludzi. Sam prosi, bym spojrzała mu w oczy i wyczytała z nich jego historię. Mówię, że w jego życiu wydarzyła się jakaś tragedia, w którą zamieszana jest pewna kobieta. Wspominam jeszcze o sporcie i że próbuje w ten sposób o wszystkim zapomnieć. Sam siedzi jak zamurowany i pyta, skąd to wiem. – Nie wiem, po prostu tak jest – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Chłopak opowiada, że w dawnym życiu był piłkarzem, ale miał wypadek samochodowy, w którym zginęła jego dziewczyna. On sam odniósł kontuzję i musiał zakończyć sportową karierę. Próbuje dać mu kilka wskazówek, jak połączyć

to, co się stało, z tym, co jest. Tłumaczę, że wszystko stanowi jedność i że warto stworzyć całość, aby realizować marzenia, nie rezygnując całkowicie z siebie.

Sam przeprasza nas na chwilę. Mówi, że musi zadzwonić do kolegi i podzielić się z nim tym, jak bardzo zszokowany jest moim darem.

Po obiedzie idziemy na zakupy. Czuję się jak w siódmym niebie, ubrania, dodatki są przepiękne, wybieram pastelowe barwy, błękity, różę, przymierzam kapełuszki. Kobe to konsumencki raj.

Wieczorem wracamy razem do centrum. Sam, mimo że pracuje w Osace, mieszka w Kobe. Żegnamy się i docieramy do naszego hotelu. Położony w China Town – jak już wspomniałam wcześniej – urządzony jest w stylu europejskim.

HAKONE

7 maja 2016

Ruszamy w pierwotnym kierunku, czyli ku Hakone i górze Fuji. Pojawiają się riksarze w tradycyjnych strojach: spiczaste buty, ciepłe, dopasowane spodnie i eleganckie koszule. Jak rasowy turysta zaraz po przyjeździe zaczynam pstrykać zdjęcia pięknej górskiej rzece z czystą, źródlaną wodą oraz górzystemu terenowi dookoła.

Jednym z marzeń Agnieszki jest pójście nad pobliskie jezioro do punktu widokowego, z którego widać górę Fuji. To spektakularne miejsce, szczególnie kiedy kwitną wiśnie. Wybieramy się więc na wycieczkę. Tak spełnia się marzenie Agnieszki.

W końcu trafiamy do naszego guest house'u, który okazuje się prawdziwym odzwierciedleniem japońskiego stylu. Podłoga jest wyłożona matami tatami. Na wejściu znajduje się shōji, czyli tak zwany ruchomy ekran, służący do podziału pokoju na części lub jako drzwi do niego. Jako dziecko spałam już na futonie, czyli materacu rozkładanym na noc na tatami. Ciepła kolorystyka, naturalne materiały i harmonia tego miejsca pozwalają na połączenie się z naturą i uspokojenie ducha.

Po zachodzie słońca udajemy się na kąpiel w wodach termalnych Tenzan Jena. Na studiach jednym z moich projektów było japońskie SPA, a teraz naprawdę jestem w takim miejscu. Pokonuję swoją blokadę związaną ze stomią i zgodnie z tu-tejszymi zasadami rozbieram się.

Dookoła naturalne kamienie, parująca woda oraz blask ciepłego światła. Wszystko niskie, jak w domu dla krasnoludków. Zamiast pryszniców siada się na kamiennej ławce i polewa ciało wodą z wiaderka. Trochę to przypomina buddyj-

skie obrzędy i rytuały oczyszczania. We wnętrzu dominują ciepłe kolory i naturalne materiały.

Patrzę na subtelne, „porcelanowe” Japonki. Wyglądają niczym gejsze oddające się niegdyś tym samym obrzędom.

TOKIO

8 maja 2016

Kolejnym punktem na mapie, już ostatnim, jest powrót do punktu wyjścia, czyli Tokio. Pierwszym przystankiem jest stacja kolejowa, gdzie od razu wędruję zobaczyć pomnik Hachikō, niezwykłego psa, o którym napisano książkę i nakręcono przepiękny film. Odprowadzał on codziennie swojego właściciela na dworzec, skąd mężczyzna dojeżdżał do pracy. Któregoś dnia człowiek nie pojawił się, ponieważ nagle zmarł, jednak pies cierpliwie czekał na niego aż do końca swoich dni. Na pamiątkę tej niezwykłej relacji postawiono pomnik.

Zostawiamy bagaże w hotelu, w którym spać mamy w kapsułach. Cała ściana hotelowa przypomina olbrzymi mebel pełen szuflad, czyli kapsuł z klimatyzacją i oświetleniem wewnątrz. W każdej jednej śpi człowiek. Kapsuły są wygodne i estetyczne, podzielone na sektory dla mężczyzn i kobiet. Przed wejściem do sali z kapsułami stoją skrzynki na rzeczy, obok znajdują się łazienki, do których wchodzi się w szlafroku, a przy wejściu zakłada klapki z drewna i skóry. Wszystko jest czyste i pachnące.

W końcu przychodzi wyczekiwany moment – spotkanie z moją przyjaciółką Kaori. Obie nie kryjemy łez. Kaori oprowadza nas po mieście. Próbuje tuńczyka, którego zawsze uwielbiałam, ale właśnie dowiaduję się, że występuje on w trzech rodzajach: może być chudy, tłusty i półtłusty. Przy obiedzie wzruszam się, opowiadając Kaori swoje życie od momentu wyjazdu z Włoch. Potem role się zamieniają, ona mówi, a ja słucham... Tak niedawno byliśmy we Włoszech na studiach. Dziś moja przyjaciółka ma dwójkę dzieci i kochającego męża. Opowiada mi historię poznania się z nim. Oczywiście musiało być w tym coś śmiesznego – zataiła swój wiek. Kiedy zbliżał się termin ślubu, trzeba było pokazać dokumenty i powiedzieć prawdę. Nie wpłynęło to negatywnie na ich miłość. A fakt, że mąż jest kilka lat młodszy od Kaori, nikomu nie przeszkadzał. Wspominamy też historie z Włoch, jak to moja przyjaciółka poprosiła swojego niedoszłego chłopaka, żeby zrobił badanie na HIV. Przy okazji badania lekarze zdiagnozowali mu guza jądra, które usunęli, ale do zbliżenia pomiędzy nimi nie doszło. Po roku okazało się, że był to błąd

medyczny i jądra wcale nie należało usuwać. Inną zabawną historią jest ta, kiedy to Kaori dała mi kontakt do lekarza, gdy leciałam do Nowego Jorku. Podkreśliła, że za dnia pracuje jako lekarz, lecz wieczorem tańczy jako striptizer.

Idziemy do przedszkola odebrać synków Kaori, obie z Agnieszką bawimy się z nimi jak dzieci.

Tokio robi na mnie wielkie wrażenie. Przeżywam kolejny szok kulturowy. Zdziwiał mnie wyobrażenia Japończyków. Zacznę od sex shopu, w którym znajduję głowę konia jako element przebrania albo wibratory w kształcie zwierzątek. Historia gumowych lalek zaczyna się właśnie w Japonii. Kiedyś miały proste, kobiece kształty, dzisiaj przybierają niesamowicie realistyczny wygląd. Niektórzy Japończycy wiążą się z lalkami emocjonalnie i traktują je jak żywe kobiety. W Japonii świat z komiksów zlewa się ze światem realnym, także jeśli chodzi o pornografię. Mangi zostały stworzone z myślą o poprawieniu komunikacji, ponieważ zaczęto opowiadać historie również za pomocą obrazków. Dzielnica Akihabara to raj dla fanów fikcyjnego świata. Agnieszka spełnia marzenie i w jednym ze sklepów przebiera się za Czarodziejkę z Księżycy.

Wieczorem udajemy się na Robot Show, który polecił mi mój współlokator. A tam widzimy roboty w różnych rolach, walczą, grają na bębnach, a towarzyszą im postacie z kreskówek, w które wcielają się młodzi Japończycy. To przedstawienie jest dla mnie dość szokujące.

W Tokio działa mnóstwo salonów gier, już z daleka słychać dźwięk kulek do gry w pachinko. To gra automatowa, przypominająca nieco połączenie bilardu i paintballa. Salony gier są pełne ludzi, którzy odreagowują w nich stres związany z codziennością. Dlatego Japończycy z jednej strony są tak opanowani, ale z drugiej mają zachwiane poczucie rzeczywistości. Miesza im się fikcja ze światem realnym. Ot, najbardziej popularną piosenkarką w Japonii jest nie żywa osoba, lecz hologram. Do tego płaci się tam za bycie przytulonym. Mieszkańcy tego kraju uciekają w świat wirtualny, nie mogąc stworzyć prawdziwej relacji w rzeczywistym.

W mieście szokuje też moda – odważna, oryginalna i wyjątkowa. Nawet dorosłe kobiety obwieszają się wizerunkami postaci z kreskówek. Jest to uwarunkowane poniekąd tym, że w tygodniu młodzież chodzi do szkoły ubrana w mundurki, zatem wszyscy wyglądają tak samo. W czasie weekendu bądź dłuższego wolnego młodzi ludzie pozwalają więc sobie na wyrażanie siebie poprzez nietuzinkowe stroje czy kolorowe włosy.

Japonia robi na każdym duże wrażenie. Różnice kulturowe powodują, że wiele spraw potrafi zszokować, ale też przyjemnie zaskoczyć. Cieszę się, że mogłam choć trochę poznać jej tajemnicze zakamarki. Podoba mi się, że ludzie są grzeczni,

uprzejmi i nie spieszą się z tym, co robią. Widziałam to, kiedy próbowali nam pomagać, często nieskutecznie, ale nie liczyli poświęconego nam czasu. Zupełnie inaczej niż w Europie, gdzie każdy się spieszy i zazwyczaj pogania innych. Nie wiem, jak to się ma w pracy, bo Japończycy uchodzą za chorobliwych wręcz pracoholików, ale w codziennym sprawach nie widać u nich pośpiechu i napięcia.

Japonia to kraj kontrastów, ludzie odżywiają się dobrze, a umierają z przeciążenia. Z jednej strony sobie pomagają, z innej szkodzą. Nie okazują emocji, są uprzejmi i bardzo miło wśród nich się przebywa. Następnym razem na pewno ściągnę sobie aplikację ze słownikiem, aby móc się lepiej komunikować. Na szczęście Agnieszka miała rozmówki w przewodniku, które podczas naszej przygody okazały się bardzo przydatne. Stworzyłyśmy idealny team, ona uwielbiała przejmować kontrolę, a ja na tym etapie życia zupełnie nie miałam takiej potrzeby, więc się uzupełniałyśmy. Pewne rzeczy, które miałam zaplanowane, i życzenia, które pojawiały się w trakcie, realizowałyśmy pod moje dyktando. Chyba obie byłyśmy zadowolone.

W Japonii zrozumiałam, jak ważna jest harmonia w życiu człowieka, rytm, podział. Znowu muszę tu wspomnieć uporządkowane okablowanie na słupach, ten ład dookoła, połączenie z naturą, widoczne chociażby w naturalnych materiałach i matach wyciszających pomieszczenia.

W swoim wewnętrznym rozdarciu kolejny raz poczułam, że świątynia jest miejscem, które mnie porządkuje i pozwala wracać do stanu, w jakim czuję się dobrze. Płynąc z nurtem rzeki, możemy dać się jej ponieść, nie musimy walczyć z prądem, wewnątrz siebie czujemy błogość. Odwrotny kierunek bądź rzeka pełna wirów wciąga nas i czasami wyrzuca martwe ciała na brzeg. Człowiek powinien być blisko przyrody i starać się żyć z nią w harmonii, z jej rytmem i poczuciem bezpieczeństwa. Kiedy w rodzinie relacje nie układają się po naszej myśli, najczęściej podejmujemy walkę, a to jak wpaść w głęboki wir. Tymczasem powinniśmy płynąć przez życie, czując jego rytm, a nie pod prąd.

Korea

SEUL

9 maja 2016

Ląduję na lotnisku w Seulu, stolicy Korei Południowej. Odbiera mnie Justin. Specjalnie wziął urlop, aby pokazać mi swój kraj. Z Justinem poznaliśmy się w Chicago, gdzie miałam okazję kiedyś mieszkać. Idziemy do jego mieszkania, które dzieli z rodziną. Po nocnym locie muszę się przespać. Wszyscy wychodzą, a ja zostaję z babcią. Ta wydaje intensywne dźwięki, delektując się śniadaniem. To właśnie ona wychowywała Justina, kiedy jego rodzice robili karierę.

Po pewnym czasie mój przyjaciel wraca. Zanim wejdziemy do windy, wnuk wraz ze swoją babcią zaczynają tańczyć koreański taniec *Gangnam Style*.

Jedziemy do hotelu, w którym się zatrzymałam, a następnie do kliniki specjalizującej się w zabiegach twarzy. Można tam zrobić botoks, wstrzyknąć sobie kwas hialuronowy, poddać się zabiegom wybielającym, oczyszczającym oraz wielu innym cudom. Klinika zajmuje całe piętro. To miejsce dla miłośniczek piękna i nie ukrywam – jestem w swoim żywiole.

Kobiety w Korei mają obsesję na punkcie wyglądu, co oczywiście widać. Są posiadaczkami śnieżnobiałej, pięknej, zadbanej cery, szczególnie te w Seulu wyglądają jak porcelanowe laleczki.

Potem idziemy zwiedzać miasto, a wieczorem na mecz baseballu. Robimy to na wzór naszych tradycyjnych wypadów w Chicago, kiedy to oglądaliśmy mecze lokalnej amerykańskiej drużyny White Sox.

Tańczymy, śpiewamy razem z tłumem i cheerleaderkami. Nagle przychodzi wielki moment – *kiss time*, kiedy to kamery kierują się w naszą stronę, a nasze twarze pojawiają się na wielkim ekranie. Z powodu nieśmiałości Justina przejmuję inicjatywę, całuję go w usta i w ten sposób wygrywamy darmową kolację, a nasz

wizerunek kilka godzin później rozpowszechniony zostaje na Instagramie, na fanpage'u lokalnej drużyny, zdobywając kilka tysięcy fanów.

Justin nie ukrywa entuzjazmu, aczkolwiek ma obawy, czy – biorąc pod uwagę lokalną kulturę i zwyczaje – jego przyszła partnerka zaakceptuje to, że kiedyś pocałował białą kobietę na oczach kilku tysięcy fanów baseballu.

10 maja 2016

Jedziemy za miasto, gdzie Justin zabiera mnie na rollercoaster (czyli spełnia się moje kolejne marzenie) i symulator gry w baseball, co jest dość zabawne, szczególnie gdy wymachuję kijkiem w powietrzu, nie zawsze trafiając w piłkę.

Kolejnym punktem programu, tuż po supermarkecie, w którym Justin kupuje jedzenie na grilla, jest agroturystyka u jego cioci, zaraz na południe od stolicy Korei. Moim oczom ukazują się kolorowe drewniane domki ze spadzistymi dachami i białymi okiennicami oraz otaczająca nas zewsząd przyroda.

Wieczorem robimy grilla, degustujemy lokalne alkohole i przeróżne grillowane mięsa. Kolacja kończy się imprezą z tańcami, przy których przewracamy się od spożytej ilości wysokoprocentowych trunków.

Poza zwiedzaniem nowych miejsc w mojej podróży kluczową rolę odgrywają ludzie. To nie tylko nieznanne dotąd miejsca wywołują radość, ale także więzi, jakie buduje się z innymi. Ta podróż mi to uświadamia.

11 maja 2016

Robimy zakupy. Kupuję głównie kosmetyki do twarzy, kremy, maseczki, z których słynie Korea. Justin, jak na mieszkańca dużego, bogatego miasta przystało, na co dzień ciężko pracuje, ale te dni są tylko nasze, dzięki temu, że mój przyjaciel wziął urlop. Realizuje wszystkie moje życzenia, o których wspominałam przed wyjazdem. Miłym akcentem kończącym mój pobyt w Korei jest kolacja z osobami, z którymi wspólnie spędzaliśmy czas, mieszkając w Chicago.

Hongkong

12 maja 2016

Żegnaj się z Seulem i Justinem. Wracam do Hongkongu. Czuję się naładowana pozytywną energią na dalszą, nieznaną mi drogę.

Zaraz po przylocie rezygnuję z wycieczki z koleżankami na Mykonos. Miałam ją wykupioną, jeszcze zanim poleciałam do Azji, ale od początku nie byłam przekonana, jak ułoży się moja dalsza droga: czy zostanę, czy jednak wrócę do Europy.

13 maja 2016

Czuję, że w tym momencie potrzebuję czegoś odmiennego, chcę zobaczyć świat prawdziwy, a nie raj dla bogatych. Szukam teraz ciepła i bliskości. Szukam mojej drogi. Jestem odcięta od rzeczywistości, z której pochodzę jako córka biznesmena-podróżnika i działacza społecznego w Rotary Club. Idę za głosem serca, za prawdziwymi marzeniami...

14 maja 2016

Wierzę, że cały czas prowadzą mnie moi bliscy, żywi i ci z tej drugiej strony. Jakbym kontynuowała podróże moich przodków, mojego ojca i równocześnie swoją podróż życia. Wciąż mam przy sobie portfel, z którym tato zwiedzał świat, a z którym nie umiem się na razie rozstać.

TAI O

15 maja 2016

Wybieramy się z moim współlokatorem Stephanem na wycieczkę. Przypominę, że pochodzi on z Niemiec.

Dostajemy się do wioski Tai O, co znaczy „duża zatoka”. Miejscowość znajduje się na wyspie Lantau. Wszystko wygląda tu tak, jakby czas się cofnął. Drewniane chaty stoją na palach, a mieszkańcy żyją na wodzie. To miejsce najstarszego ludu Hongkongu – Tanka. Od trzystu lat kultywują tradycję mieszkania na wodzie. W wiosce unosi się intensywny zapach, a to przez suszone ryby na bambusowych paterach, żaby, krewetki, suszone żółte kaczkę. Dookoła drewniane chaty, przed którymi na ganku przesiadują całe rodziny, grając w gry lub leżąc do góry brzuchem. Na wąskich uliczkach spotykam handlarzy. Płyniemy łodzią, podziwiając konstrukcje domów. Na obiad dajemy się namówić na lokalną chińską pizzę, która wbrew pozorom nie jest aż taka zła.

16 maja 2016

Ostatniego dnia w Hongkongu jadę do buddyjskiej świątyni Chi Lin Nunnery, którą zbudowano w 1934 roku za czasów dynastii Tang. Wykonana została z drewna o stonowanej kolorystyce, charakterystycznej dla tych czasów. Miejscowy fotograf próbuje uwiecznić mnie w chińskiej, subtelnej, kobiecej oprawie, w tradycyjnym stroju, co jest nie lada wyzwaniem z moim zarysowanym dzięki jodze bicipsem.

Wieczorem na pożegnanie idę ze Stephanem do włoskiej restauracji. Dostaję od niego wskazówki na dalszą drogę życia.



YONINA LELOCH

– (ur. 1984) jest architektką wnętrz, podróżniczką z zamiłowania, poliglotką z miłości do ludzi oraz autorką z potrzeby serca. Urodziła się w Londynie w polskiej rodzinie, z którą w wieku 4 lat wróciła do kraju. Studia ukończyła we Florencji, w Nowym Jorku zdobyła doświadczenie zawodowe, realizując projekty na zlecenie burmistrza Nowego Jorku Micheala Bloomberg. W rodzinnym Trójmieście zrealizowała jedno z zawodowych marzeń, projektując hotel. Aktywistka na rzecz osób ze stomią, w roku 2015 otrzymała statuetkę Człowieka bez Barrier. Poza projektowaniem zajmuje się inwestycjami i zarządzaniem nieruchomościami. Certyfikowana miłośniczka jogi, tantry i reiki.

Po podróży do Azji i transformacji wewnętrznej wróciła do rodzowego nazwiska matki – Leloch i nadała sobie nowe imię Yonina, co po hebrajsku znaczy „gołębica”, czyli symbol życia. Po duchowej przemianie postanowiła zamieszkać w Paryżu.